Nr. 7. Lwów, dnia 25. marca 1900. Tom I.

ROMANS I POWIEŚĆ

PISMO TYGODNIOWE, POŚWIĘCONE BELLETRYSTYCE.

Wychodzi każdej niedzieli.

Cena we Lwowie: rocznie 10 koron, półrocznie 5 koron, kwartalnie 2 kor. 50 h.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA **Lwów, pl. Marjacki 6.**

Cena dla prowincji: rocznie 12 koron, półrocznie 6 koron, kwartalnie 3 korony.

MISTRZ.

NOWELA.

Pan Marjan Półtoński był mistrzem nad mistrze. Znał go nietylko własny rodzinny zakątek, ale i Europa cała — koncertował prawie we wszystkich większych jej miastach i wszędzie, zarówno publiczność, jak i prasa składały hołd jego wielkiemu talentowi.

Kiedy usiadł do fortepianu, zapominał wtedy o świecie całym, klawiatura pod jego palcami zamieniała się na jakąś cudownie brzmiącą arfę eolską; gdy grał, umiał zakląć myśl i serce słuchacza w potęgę swej pieśni i poprowadzić tam, gdzie biegła jego fantazja.

Tak, pan Marjan Półtoński był mistrzem z łaski Bożej.

A łaska ta Boża dała mu nietylko talent wielki, ale i serce wielkie uczciwego człowieka.

To serce czułeś w grze jego, w pieszczocie, z jaką tłómaczył Chopin'a czy Schumanna, w sile i potędze, gdy marzył z Beethovenem, w słodyczy i spokoju, gdy uśmiechał się z Mozartem.

Dla profana nawet muzyka jego była czemś nie zwyczajnem, czemś potężnem, co zdawało się pętać serca, budzić przychylność i ciągnąć ku sobie słuchacza.

Mistrz Marjan nie był też egoistą, z koncertów, lekcyj obfitym potokiem sypały się do jego kieszeni pieniądze, mało jednak dbał o nie i mało o nich wiedział.

Zatopiony w swej sztuce i sławie, zdobywszy laury największe, nie dbał o marny kruszec o tyle, o ile nie wymagały tego codzienne jego potrzeby.

Niedbalstwo jego pod tym względem stało się już prawie przysłowiowem, a najbardziej z tego zadowoleni byli służące i lokaje, znajdujący codziennie po wszystkich kieszeniach swego pana porozrzucaną gotówkę.

Gdy mistrzowi naprzykład, w przechodzie przez ulicę przyszło na myśl nowe jakieś palcowanie w trudnej sztuce, stawał na chodniku, dłoń lewej ręki służyła mu za klawiaturę, na której palcami prawej wykonywał tylko co urodzoną kombinację.

Wtedy go można było okraść od stóp do głowy i byłby tego nie spostrzegł.

Był przystojny, artystycznej blagi w sobie nie nosił, wysoko wykształacony, co się rzadko u muzyków zdarza, wielce dowcipny, co wszystko razem wzięte, czyniłoby go bardzo pożądanym w towarzystwie gdyby nie szalone roztargnienie, które mu zawsze i wszędzie towarzyszyło.

Damy, naprzykład, gdy się w salonie ukazał, usuwały wszystkie od niego swe ręce, gdyż przywitanie z nim połączone było z oparzeniem rąk trzymanem przez niego cygarem Grając w winta, umiał trzymane w ustach cygaro rzucić na stół, a kartę z rąk na ziemię.

I nie spisalibyśmy listy całej tych wszystkich zajść komicznych, jakich przyczyną było owo sławne roztargnienie mistrza.

Pomimo to jednak, gdy chodziło o sztukę, mistrz zmieniał się do niepoznania, czy wtedy, gdy o niej mówił, czy wtedy, gdy siadł do fortepianu.

— Jeżeli się kiedy ożeni — zapewniała jedna z jego uczennic — to zaręczam wam, nazajutrz po ślubie zapomni o tem, że ma żonę.

To objaśnienie w połączeniu z ogólnie ugruntowanem przekonaniem że ono przesadzonem nie jest, zapewniać się zdawało mistrzowi jaknajaktualniejsze kawalerstwo.

Mistrz z tej przepowiedni nic a nic sobie nie robił, bo i cóż go mógł obchodzić celibat życiowy, kiedy całą swą istność ożenił z wszechpoteżną panią, która się sztuką nazywa.

Przez sztukę też szła droga do jego serca.

Parę razy w życiu zdawało mu się nawet, że kocha. Było to jednak złudzenie. Uczucie takie nie trwało dłużej nad parę miesięcy, a skierowane było zawsze pod adresem uczennicy, która odegrała lepiej to, lub owo szopenowskie scherzo, wspanialej ten, lud ów etiud.

Wystarczało jednak sfuszerowanie jednej sztuki, aby mistrz rozkochany rozczarował się i albo afekt swój zamknął w sercu, albo też zwrócił w kierunku innym, gdzie znalazł nowe dla siebie artystyczne zadowolenie.

Na to, aby się podobać mistrzowi, nie potrzeba było być koniecznie piękną, potrzeba tylko było mieć artystyczną duszę.

Pewnego zimowego wieczoru, w starym i poplamionym szlafroku siedział właśnie mistrz Marjan, rozmyślając nad ostatnią swoją kompozycją, szeroko pomyślaną Suitą, gdy do pokoju weszła stara Marcinowa, jedyny troskliwy opiekun swego roztargnionego pana, przyzwyczajona do wszystkich jego dziwactw i coś pod nosem mruczeć zaczęła, krzątając się po pokoju.

Mruczenie to było zazwyczaj czemś w rodzaju intermezza, tyle modnego w ostatnich czasach.

— A co tam kochaneńki łaskawco, pani Marcinowa? — zawołał mistrz Marjan.

Kochaneńki łaskawco, było to przysłowie mistrza Marjana, którego używał zawsze i wszędzie, bez względu na płeć osoby, czas i miejsce.

Bez tego zapytania Marcinowa nie byłaby się nigdy ośmieliła rozpocząć rozmowy z mistrzem, gdy więc je usłyszała, podeszła ku niemu z dobrotliwą, uśmiechniętą twarzą i nachylając się prawie ku jego uszom, szepnęła:

— Niech-no panicz szlafrok rzuci, bo oto jakaś panienka o niego się pyta.

Polecenie to wypowiedziane było właściwie dla formy, o czem aż nadto dobrze pani Marcinowa wiedziała i była pewną, że nie odniesie ono najmniejszego skutku, jeśli się sama do przebrania swego panicza nie zabierze.

Jakoż, gdy mistrz Marjan na to oświadczenie zwyczajnego faktu zerwał się przestraszony i oczy jak kołowaty wytrzeszczył, Marcinowa zdarła mu prawie przez siłę szlafrok, schowała do szafy, a wyjąwszy z niej granatowy surducik, na plecy mistrza wdziała go także przez siłę.

— Ot, to mi panicz, to elegant — mruczała dalej, spoglądając z zadowoleniem na dzieło rąk swoich.

— Więc co? — nie wiedząc o niczem, co się z nim działo, pytał bezmyślnie Marjan.

— Co? panienka jakaś, powiedziałam.

— Panienka?

— Skaranie Boże, czy panicz do reszty ogłuchł?

— Aha, ogłuchł, panienka — powtarzał mistrz Marjan, z twarzy jego jednak bardzo łatwo było nabrać przekonania, że zupełnie nad tem nie myśli, co powtarzają usta.

Nie zmieniła się w niczem sytuacja gdy po paru minutach otworzyły się drzwi salonu i w nich ukazało się młode, najwyżej lat szesnaście mogące liczyć dziewczę.

Gdyby wizyta taka spotkała każdego innego młodego człowieka, byłby niezawodnie szeroko usta otworzył i zachwycił się w zupełności tem zjawiskiem, jakie przedstawiała przybyła.

Nie imponowała, co prawda, wzrostem, ale imponowała natomiast śmiałemi ruchami, widoczną energją w chodzie, śmiało do góry podniesioną główką, oczyma i wreszcie całością, w której wszystkie szczegóły dziwnie z sobą harmonizowały. Twarzyczkę miała drobną, jak i rysy, dziwnie równe jednak i powabne. Usteczka małe, rumiane, nosek rzymski, brwi, oczy i włosy czarne, a około ust uśmiech dziwnie pociągający, który zdradzał jednocześnie żywy dowcip, ironię i wesołość.

Ukłoniła się mistrzowi swobodnie i rezolutnie zaprezentowała:

— Helena Zawiejska!

Usłyszawszy nazwisko, mistrz nareszcie uznał za stosowne zapytać:

— Czem mogę pani służyć?

— Nauką — brzmiała krótka odpowiedź.

— Aha, gry na fortepianie.

— Tak właśnie.

— Pani zapewne wie, że ja początkujących nie przyjmuję.

— Ja też nie jestem początkującą.

— Aha, hm — mruknął mistrz — któż więc panią uczył dotychczas?

— Moja matka — zadźwięczało w powietrzu, a w odpowiedzi tej, mistrz, gdyby słuchać umiał, odczułby pewien żal i smutek.

— Pani matka? — powtórzył bezmyślnie — hm, hm, ano, zobaczymy!

Tu automatycznie podszedł do jednego z kilku stojących fortepianów w salonie, otworzył go i rzekł:

— Proszę, niech pani raczy zagrać!

— Kogo mam zagrać?

— Kto się pani najwięcej podoba?

— Każdy mistrz.

— Mistrzów tylu.

— Ja ich też kocham wszystkich zarówno...

— Kocham... kocham... to się tak łatwo mówi, ale mało kto ma pojęcie, co to jest miłość dla mistrza. Grać go, torturować, kaleczyć ależ to zadawać mu męki, a nie kochać, uwielbiać. Każda pensjonarka powiada że kocha Chopin'a, Mozarta i t. d. Ale niech ich Bóg strzeże od takiego uwielbienia. Prawdziwa muzyka, prawdziwa sztuka, to nie gra na drumli, lub katarynce...

Mistrz wpadał w zapał. Sama myśl nad tem, jak u nas gwałtownie są torturowani wszyscy bogowie jego sztuki, wprowadzała go w stan nadzwyczajnego podrażnienia.

Mógłby tak był perorować przez dobrą godzinę, unosić się coraz więcej i coraz brutalniejsze wyrzucać z siebie sądy, gdyby tylko znalazł się cierpliwy słuchacz.

Z właściwym sobie kobiecym sprytem odgadła widocznie to usposobienie mistrza panna Helena, bo gdy on wpadł w ferwor, usiadła do fortepianu i zaczęła grać rozkoszne, rozmarzone szopenowskie Impromptu.

Już pierwsze takty tej muzyki zamknęły usta szlachetnemu mistrzowi, perorę swą urwał nagle, usta otworzył, oczy, jak poprzednio, wytrzeszczył, uszy nadstawił i dalszej grze przysłuchiwać się zaczął, mrucząc od czasu do czasu:

— Hm, hm, to wcale niezłe... to niezłe... to bardzo dobre — a przez cały czas popisu dwa razy tylko syknął i trzy razy niemiłosiernie się skrzywił.

Gdy panna Helena skończyła swoje granie i rezolutnie spojrzała na mistrza, znalazła go już inaczej usposobionym dla siebie.

Usta jego się zamknęły, oczy nabrały ognia i zniknął z nich zupełnie ten tak często u niego dający się widzieć wyraz niezdecydowanej myśli, właściwej geniuszom i obłąkanym.

Patrzał teraz na pannę Helenę, rzec można, innemi oczyma, teraz spostrzegł już i ten do wcipny uśmieszek na jej twarzyczce, i ten nosek rzymski, i te oczy czarne, i te włosy krucze z połyskiem granatowym.

— A! a! — zawołał — pani miałaś dobrą nauczycielkę, pani możesz zostać znakomitą pianistką, jeżeli... jeżeli... — tu myśli swojej nie dokończył.

— Jeżeli dalej uczyć się będziesz u prawdziwego mistrza, wszak to pan powiedzieć chciałeś? — dokończyła Helena.

— To jeszcze mało.

— Więc cóż?

— Jeżeli wszystkie swe myśli, wszystkie swe pragnienia, wszystek swój czas tej sztuce poświęcisz. Wierz mi pani, jest ona tak wielką i potężną, że wystarczy do zapełnienia życia całego; przez pół jej się oddać niepodobna.

— Jak to, mistrzu, rozumiesz?

Mistrz Marjan nie odpowiedział na to pytanie wprost, a nagle obudziła się w nim jakaś żyłka praktyczności, bo szepnął:

— Jakie pani masz środki?

— Żadnych.

— Z czegóż więc pani się utrzymujesz?

— Z lekcyj.

— Sama?

— Nie, panie, mam jeszcze siostrę młodszą od siebie, którą kształcić jestem obowiązaną i której przyszłość odemnie zależy i na moich spoczywa barkach.

— To smutne!

— Przeciwnie, ja znajduję, że to bardzo wesołe mieć coś w życiu, kochać, opiekować się; doprawdy, nie znajduję większej rozkoszy i większego zadowolenia.

— Hm, hm, to frazes.

— O, nie! to prawda! to zadowolenie! to szczęście, to rozkosz.

Mistrz dłużej teraz zastanawiał się nad tem wszystkiem, co mu powiedziała Helena, a w umyśle jego kombinowały się wszystkie okoli-

czności, jakie towarzyszyć mogły życiu nieznanej mu dotąd, a z tego co słyszał, w przyszłości wielkiej artystki.

Wiedział już, że jest samą na świecie, o finansowym jej stanie mógł sobie wyrobić jakie takie pojęcie, a nie w smak mu były te lekcje, których udzielała innym, gdyż zabierały jej czas, który cały, niepodzielnie, według jego mniemania, powinna była poświęcić sztuce. Irytowało go poniekąd ubóstwo tej biednej dziewczyny, zdenerwowany więc zawołał:

— Ależ, do licha! musisz przecież mieć pani kogoś na świecie prócz siostry?

— Nie mam nikogo od śmierci matki — powtórzyła po raz drugi smutnie Helena — moje dziesięć palców są jedynem źródłem mojego utrzymania. Może, gdybym była bogata, znaleźliby się krewni, ponieważ biedną jestem, nikt mię prawie nie zna.

Mistrz żachnął się, przeszedł parę razy po pokoju i nagle zwracając się do Heleny, rzekł:

— Mniejsza o to, pomówimy o tem. To Impromptu grałaś pani w niektórych miejscach nieźle, ale wogóle źle, niegodziwie, fatalnie; tu i ówdzie schwyciłaś pani myśl nie najgorzej, ale wygląda to tak zupełnie, jak błysk promienia słonecznego, wobec światła łojówki, całość zagmatwana i niezrozumiana zupełnie, ale pani to zrozumiesz, zrozumiesz w niedługim czasie. Posłuchaj, proszę, jak ja to zwykle grywam.

Tu mistrz usiadł do fortepianu i począł interpretować mistrza nad mistrze. (C. d. n.)

TAJEMNICZA ZBRODNIA.

ROMANS

Eugeniusza Chavette.

(Ciąg dalszy).

Nagle drgnął ze zdziwienia, powtarzając pocichu:

— No! no! no!

Bo oto, gdy patrzył na okienko w przepierzeniu, zdawało mu się, iż widzi przesuwający się szybko cień na zamkniętym lufciku.

W pokoju musiał się znajdować ktoś, od którego osoby padł cień na szybę

— Czyżby pani Dargon powróciła?... albo może wcale się nie oddaliła, tylko udawać chciała nieobecną, ażeby uniknąć mych ciekawych wypytań? — pytał sam siebie Cezar.

Po cichu zaczął odbudowywać rusztowanie, które miało mu pozwolić stanąć na pożądanej wysokości i wlazł zręcznie na jego szczyt, a o mało co nie spadł ze zdziwienia, gdy spostrzegł osobę, znajdującą się w sąsiednim pokoju. A mógł się zdziwić bardzo słusznie, bo, zamiast spodziewanej pani Dargon, zobaczył Leona Barantela, który chodził na palcach od jednego sprzętu do drugiego, otwierał szuflady i rewidował.

— Którędy mój zacny gospodarz mógł się tam dostać? — pomyślał.

Długo jednak nie czekał na wyjaśnienie tajemnicy, bo Barantel, który zapewne ukończył swe poszukiwania, podszedł do olbrzymiej masywnej szafy hebanowej, którą w dniu śledztwa sądowego zastano otwartą.

Jak przedtem i teraz stała otworem, a w głębi ukazywały się wspaniałe suknie wiszące pani Dargon.

Barantel włożył rękę pod fałdy tych sukien i natychmiast w głębi szafy, która się obróciła, jak na zawiasach, ukazało się wąskie przejście, w którem zniknął właściciel domu.

Potem suknie powróciły w szafie na swoje miejsce, gdy znów się obróciła.

Ta krótkotrwała scena była pewną wymowy dla Cezara, przed którym odsłoniła się odrazu znaczna część prawdy.

— A! rozumiem — rzekł do siebie — pani Dargon była kochanką właściciela domu, który, mieszkając na drugiem piętrze w sąsiednim domu, kazał wybić w murze to przejście... A! to ten Barantel nie jest taki naiwny, jak się wydaje.

Zeszedłszy na podłogę i rozbierając swe rusztowanie, młodzieniec nagle przy rozbiórce zatrzymał się pod wpływem nowej myśli.

— Tak — pomyślał — pani Dargon weszła przez

tę szafę, już po przyłożeniu pieczęci przez sąd... lecz przecie tą samą drogą nie mogła się wynieść dziś w nocy, jak o tem świadczy list, który położyła u mnie na stoliku. Musi więc tu istnieć jeszcze inne przejście, które także pozostało niedostrzeżonem dla sądu.

Kończył ustawiać meble na miejsca, gdy pukanie do drzwi zapowiedziało powrót Ignacego, przynoszącego sławetną herbatę.

— Trzeba tego głupca wypytać — rzekł do siebie.

Ale odźwierny, idąc do mieszkania lokatora, ułożył sobie sposób postępowania.

— Warjaci to tak samo, jak koty, nie trzeba ich drażnić. Jak nic do niego nie będę mówił, to już się niczem go nie podrażni.

Cerber więc, postawiwszy tacę na stoliku, ukłonił się z powagą i zawrócił ku drzwiom

— No, no! — zawołał Cezar — dokądże idziesz, mój Ignacy?... Czy nie możesz trochę zaczekać, ażeby sprzątnąć? Herbatę i jajka niedługo się połyka, czy więc nie możesz zaczekać?

Ale odźwierny, zamiast się zatrzymać, ukłonił się tylko znowu i dalej maszerował ku drzwiom.

— Nie drażnijmy go, nie drażnijmy — powtarzał do siebie, bardzo zadowolony ze swej przezorności.

Niestety, chcąc dobrze zrobić, przekroczył wszelkie granice, i w chwili, gdy Ignacy cieszył się, że nie zirytował swego lokatora, uczuł nagle poniżej żeber gwałtowne uderzenie, które wstrząsnęło całą jego osobą

— Widocznie musisz mieć słuch nieco tępy? — rzekł spokojnie Desormeaux.

— Wybornie słyszałem pana — jęknął kopnięty, przyciskając obiema rękoma boleśnie urażoną część ciała.

— Więc dlaczego odchodziłeś?

— Bo chciałem panu dogodzić. Pan musi sobie przypominać, że mi się zwierzył wczoraj, że nie może jeść śniadania, gdy się na niego kto patrzy.

— Tak, ale to tylko przed południem... Po południu zaś przeciwnie. Tracę nagle apetyt, gdy nie mam przy sobie kogo do rozmowy.

Nie odejmując rąk od miejsca, które zajmowały, Ignacy zgiął kark, ażeby nowym ukłonem oświadczyć, że jest do rozporządzenia lokatora, chcącego rozmawiać.

— Dzisiaj biały! jutro czarny! Pełen sprzeczności... i siły — rzekł do siebie Ignacy.

Desormeaux, wypiwszy herbaty filiżankę, zagaił rozmowę.

— Czy tapicer mój przychodził, podczas gdy spałem?

— Przyszedł, ale nie śmiałem go tu wprowadzać... Powiedział, że wróci jutro, ażeby się szczegółowo rozmówić z panem, co do zmian, jakie pan chce mieć.

— Tak, ja mam zamiar zamienić salon na pokój bilardowy, bo wiesz, że często przeznaczenie pokoi zmienia się stosownie do upodobań nowych lokatorów.

— To prawda.

— Ja też jestem pewny, że pani Dargon przybywszy tu, nie skopiowała urządzenia tego lokatora, który ją poprzedził.. Musiała zapewne urządzić sypialnię tam, gdzie jej poprzednik miał może kantor.

— A tak! zgadł pan najzupełniej... Przed nią stary uczony naturalista umieścił w tym pokoju cały gabinet ptaków, kości i czaszek.

I, przerywając sobie, dodał:

— Nie, nie, mylę się. Ponieważ żonę i córkę przestraszały szkielety i czaszki, pan Barachon zamknął je w ciemnym gabinecie.

— W ciemnym gabinecie? ależ o ile wiem, taki gabinet nie istnieje w mieszkaniu?...

— Nie, ponieważ pani Dargon go zniosła, powiększając nim ten pokój, w którym jesteśmy i gdzie miała swą ubieralnię.

To mówiąc, Ignacy wyciągnął rękę w głąb pokoju.

— O! niech pan patrzy — dodał - widzi pan tę framugę i te wieszadła? Ta pani kazała je tu wmurować a dawniej była tu ściana ciemnego gabinetu. Ale jeśli pan spojrzy w kąt na lewo tej szafy, odnajdzie pan drzwi komunikacyjne, z drugiej strony zasłania je obicie w sypialni.

Ponieważ Ignacy skończył mówić, młodzieniec postawił na tacy filiżankę wypróżnioną.

— Otóż i skończyłem śniadanie — rzekł — obecnie, mój zuchu, muszę ci podziękować za przyjemność, jaką sprawiłeś mym oczom i uszom miłą swą obecnością i interesującą rozmową.

— Warjat ale grzeczny! — pomyślał odźwierny, wielce pochlebiony.

Zaledwie Ignacy zamknął za sobą drzwi od sieni, a już Desormeaux był przy wskazanej framudze i szukał tej komunikacji, którą mu odźwierny mimo wolnie odkrył.

Prędko też znalazł klamkę od drzwi pod rozdartym papierem niebieskim, którym framuga była wyklejona; papier widocznie rozdarła pani Dargon, chcąc wejść temi zaklejonemi drzwiami.

— O! ona tędy musiała się wynieść — pomyślał młodzieniec, a nacisnąwszy klamkę, znalazł się przed

materją jedwabną, która, w rodzaju kotary, okrywała cały pokój sypialny blondynki.

Materja ta powiewała u dołu i Cezar ją tylko podniósł, a już mógł z łatwością wejść do *pokoju zbrodni*.

— Ot i jestem na miejscu! — rzekł do siebie, kiedy, wszedłszy na środek pokoju, znalazł się przed szafą z sukniami, którędy znikł właściciel domu.

— Zobaczymy, jak to jest urządzone — rzekł do siebie.

Tak samo, jak widział u Barantela, wsunął rękę pod ubranie, prędko namacał sprężynę, nacisnął i szafa obróciła się na zawiasach, a zamiast sukien pokazało się potajemne przejście.

— Trzy kroki i jest się już u właściciela domu — wyszeptał.

I Desormeaux, powodowany ciekawością, z wyciągniętemi rękami, ażeby uniknąć jakiego potrącenia niespodziewanego, zapuścił się w przejście ciemne, które łączyło oba domy.

Dobrze też uczynił, że był tak ostrożnym, bo za trzecim krokiem, ręce jego napotkały drzwi, o które się oparły bez hałasu.

Gdyby nie ta przezorność, byłby zwrócił na siebie uwagę dwóch osób, które w tejże chwili rozmawiały po za temi drzwiami.

Cezar poznał po głosie, że ten, który mówił, był właścicielem domu.

— To trochę za drogo — oznajmił tenże głos.

— O! to bagatela w porównaniu z tem, co możnaby od pana zażądać — odpowiedział drugi głos tonem drwiącym.

Desormeaux, jakeśmy rzekli, dał się pociągnąć ciekawością, ale zrozumiał, że pozostawanie tu dłuższe byłoby niegodnem dlań szpiegostwem i z taką samą ostrożnością opuścił to miejsce, wrócił przez szafę i obrócił ją na zawiasach.

Potem, nie opóźniając się już w pokoju zbrodni, podniósł obicie i przez framugę dostał się do swego mieszkania.

Podczas tej przeprawy Cezar, wielce zdziwiony, dodał do siebie:

— To rzecz szczególna, zdaje mi się, że ten głos, który odpowiadał Barantelowi, wcale nie był mi obcym.

Nie miał jednak czasu na badania dalsze, zaledwie bowiem wszedł do siebie, usłyszał głośne dzwonienie z sieni.

Pobiegł otworzyć i zobaczył Cambarta.

Giełdzista wyglądał na dobrze podchmielonego; w ręku trzymał urwany sznur od dzwonka.

— Cóż to! jeszcze spałeś? — zawołał, wybuchając głośnym śmiechem.

— O! ja już wstałem przeszło od dwóch godzin...

— Wstałeś!... Więc się kładłeś spać? zmokła kuro! ja właśnie chciałem, ażebyś się do tego przyznał... bo widzisz, choć mówią, że się starzeję, ja się wcale nie kładłem, a przecież jestem rzeźki i wyglądam jak róża.

Desormeaux mógł był odpowiedzieć mu, że przypomina raczej piwonię, niż różę, ale rzekł tylko:

— Cóż cię sprowadza?

— No! posłuchaj — odparł hulaka.

ROZDZIAŁ VII.

Cambart, po wyjściu od Krapiszetki, około godziny siódmej zrana, po tej tak długiej biesiadzie, pojechał do lasku bulońskiego, a następnie, będąc już tak blisko swej posiadłości w Passy, zajrzał do swego domku, celem porozumienia się ze sprytnym Stanisławem co do zamierzonego wspaniałego przyjęcia gości.

Zadzwonił u furtki swego domku.

Otworzyła mu tęga, czerwona na twarzy dziewczyna, Małgorzata, kucharka.

— Jest Lefleur? — zapytał.

— A gdzież ma być, proszę pana, on ciągle teraz siedzi w domu. A czy pan wie, co on teraz robi?

— Nie, Małgorzato.

— Bawi się w ogrodnika... Sadzi rzodkiewki.

— Dobrze, pójdę do niego — odrzekł giełdzista.

Przeszedłszy podwórze, Cambart wszedł do ogrodu, dosyć obszernego, gdzie rozłożyste drzewa dawały duży cień i stanowiły zasłonę, niedopuszczającą ciekawych spojrzeń sąsiedzkich.

Skoro tylko stanął w ogrodzie, hulaka spostrzegł, że jego lokaj, jak mu zapowiedziała kucharka, zajęty był ogrodnictwem.

W tejże chwili właśnie odpoczywał i wsparty na łopacie, z głową opuszczoną patrzył na ziemię, którą tylko co przestał kopać.

Cambart przeszedł prędko przez łączkę, której trawa głuszyła jego kroki i zbliżył się do stojącego tyłem służącego, tak, że ten nie usłyszał jego nadejścia.

— Cóż ty tu robisz, mój dzielny Lefleurze? — zagadnął go znienacka.

Na to niespodziewane zapytanie, Stanisław obrócił się, przerażony widocznie, bo Cambart ujrzał go bardzo bladego.

Gdy lokaj poznał swego pana, przestrach go

zapewne opuścił natychmiast, odezwał się bowiem na wpół z uśmiechem:

— Anim się pana spodziewał, zeszedł mnie pan tak nagle, że najodważniejszy mógłby się był przestraszyć.

Poczem wracając się do zadanego mu pytania, dodał:

— Zajmuję się ogrodnictwem, jak pan widzi... trzeba przecież coś robić, dla zabicia czasu.

Stanisław, mówiąc to, przyglądał się swemu panu i zauważył jego podchmielenie.

— Pijany jak bela — rzekł do siebie, a to spostrzeżenie nie mało przyczyniło się do rozproszenia jego przerażenia.

— Ja ci też nie czynię bynajmniej o to wymówek, tylko chcę zrobić ci uwagę, że źleś wybrał to miejsce. Małgorzata mówiła mi, że sadzisz rzodkiewkę, a tu ani jedna nie wzejdzie w takim cieniu.

— Wszystko mi jedno, czy sadzić tu rzodkiewkę, czy sałatę, byleby tylko mieć trochę ruchu w ogrodzie — odrzekł Stanisław.

I przy tych słowach wziął łopatę i przytknął ją do ziemi.

— O! niezgrabny z ciebie ogrodnik, nie wiesz nawet, jak się brać do kopania! — zawołał Cambart. — Ja ci zaraz pokażę.

Pochwycił łopatę i chciał ją zapuścić w ziemię.

Przypuścić możnaby, że Stanisław miał bardzo dobre wyobrażenie o każdej robocie swej, bo zamiast puścić z rąk narzędzie, wyrwał je gwałtownie z palców swego pana i odrzucił je o kilka kroków, mówiąc krótko:

— Pan mi przecież nie zrobi tej ujmy, aby mnie, dziecko wiejskie, posądzał, że nie potrafię kopać łopatą.

— Ho! ho! — zawołał giełdzista ze śmiechem — a to z ciebie raptus, i to dlatego, że chciałem cię nauczyć.

— O! nigdybym sobie nie pozwolił na gniew dlatego, że pan raczy mi udzielić życzliwych rad — wyrzekł pokornie służący, który rzeczywiście zbladł, gdy hulaka dotknął łopaty.

Cambart, któremu zależało na tym człowieku, tak użytecznym dla niego, nie nalegał już więcej i mówił dalej, wskazując na cały ogród:

— Ponieważ ogrodnictwo sprawia ci przyjemność, Lefleurze, to wybierz sobie przynajmniej jaki kawał gruntu w dobrem miejscu, gdzie twoje zachody dać mogą dobry rezultat, bo tu, w tym cieniu, do niczego nie dojdziesz.

— W innem miejscu mógłbym uszkodzić przeznaczenie ogrodu... gdy tymczasem tutaj...

— Ależ, uparciuchu, mówię ci, że tu nie będziesz miał ani rzodkiewek, ani sałaty.

— To będę siał kwiaty.

— I one nie wzejdą.

— Nie, nie, obstaję przy swoim kąciku.. Nie chcę sobie narażać ojca Wawrzyńca, który dwa razy na tydzień przychodzi doglądać ogrodu. Złościłby się na mnie, że wchodzę ze swemi próbami na jego kwiaty.

— Powiesz mu, żem cię do tego upoważnił.

— Nie, nie, panie, nie chcę, ażeby się krzywił na mnie ten biedny ojciec Wawrzyniec. Ja tam tak bardzo o ogrodnictwo nie stoję... A nawet pan, mówiąc o tym cieniu, dał mi pewną myśl.

— Jaką myśl?

— Ponieważ nic nie może rosnąć w tem miejscu, zbyt zacienionem, chcę zużytkować ten cień. Tam, pod parkanem, jest duża kupa ziemi... otóż ja ją tutaj przeniosę... urządzę ławeczkę z ziemi.. obłożę darniną, trawa się puści...

— O! nawet obficie.

— I będzie pyszna kanapka darniowa do odpoczynku podczas upałów.

— Tak, wyborna myśl — przytakiwał szczerze giełdzista.

— Więc pan mi pozwala na tę rozrywkę? — zapytał lokaj, a spojrzenie jego niespokojne zatrzymało się na swym panu.

— O! nawet ci z góry dziękuję za tę pracę.

Na tę odpowiedź, w oku Stanisława zabłysła radość, czego nie zauważył hulaka, ponieważ zwrócił głowę ku domu, gdzie na ganku ukazała się kucharka.

— Hej! Małgorzato! — zawołał.

A gdy dziewczyna biegła na jego wołanie, mówił do Stanisława:

— Zanim mi ona przygotuje śniadanie, ty, Lefleurze, idź mi po dwie butelki do piwnicy, po dwie butelki mego starego Château-Margaux. Potem dla dania rozkazów, podszedł do Małgorzaty, przyglądając się służącemu, który odszedł o kilkanaście kroków, odetchnął z pewną ulgą i wyszeptał:

— Uf! nareszcie mogę mieć i tę kanapkę darniową

W dziesięć minut później, Cambart, któremu apetyt zaostrzyła przechadzka ranna, a nawet dla tego, że zanadto pił, chciał teraz znów odwilżyć gardło, siedział przy śniadaniu, które dlań zastawiła Małgorzata.

Usługiwał mu Stanisław, który, nalawszy mu już wszystko z pierwszej butelki, odkorkował drugą, mówiąc do siebie:

— Teraz po tych dwóch butelkach urżnie się do reszty.

Giełdzista wyciągnął się w fotelu i głosem już trochę bełkotliwym zagadnął:

— Teraz, panie Lefleur, mamy z sobą pomówić poważnie:

I dodał obcesem:

— A najprzód powiedz, mój chłopcze: Jak ci się wydaje, czy ja się starzeję?

— Tak niedawno jestem w służbie u pana, że niepodobna mi nic wnosić... musiałby mi pan najprzód powiedzieć, jakim pan był dawniej, bo z tego, co widziałem, jakim pan jest teraz, muszę oświadczyć, że drugiego takiego mężczyzny jeszcze nie spotkałem.

Przebiegły lokaj, chociaż rzeczywiście niedawno dopiero służył u finansisty, już poznał dobrze jego próżność i umyślnie ją połechtał. Giełdziście pochlebił widocznie ten ordynarny komplement, bo z wypogodzoną miną odezwał się pogardliwie:

— Otóż pewna warjatka taką mi obelgę rzuciła w twarz. A ja chcę najwidoczniej, w sposób najbardziej przekonywający dowieść, że to nieprawda. Dlatego właśnie przyszedłem tutaj dzisiaj zrana, ażeby się z tobą porozumieć, Lefleurze, ja chcę wydać w tym domu bal.. muszę.. ale chciałbym, ażeby to było coś... coś...

— Coś w rodzaju z czasów regencji? — przerwał Stanisław z widocznym pospiechem, bo dla niego była to dobra gratka, dobra sposobność sporych zysków, czyli, jak mówił, pływania jak pączek w maśle.

— O! chciałbym, ażeby to było coś jeszcze lepszego.

— Dobrze, ale na to potrzeba będzie dużo pieniędzy...

Tą uwagą Stanisław chciał wypróbować wielkość próżności giełdzisty.

(C. d. n.)

UKRYTE MILJONY.

POWIEŚĆ Z KRAJU BOERÓW

z angielskiego

H. J. Rosny.

(Ciąg dalszy).

Na te słowa zapał dosięgnął ostatnich granic i Marcjal zmuszony był znowu dwadzieścia razy wystawić swą rękę na niebezpieczeństwo zgniecenia.

— Pragnę oświadczyć — zawołał Abraham Verhoord w paroksyzmie zachwytu, zachowując jednak uroczystą powolność ruchów i słów — pragnę oświadczyć siostrzeńcowi francuzowi: wybieraj pomiędzy tymi dzielnymi chłopcami: wszyscy będą uważali sobie za zaszczyt towarzyszyć tobie. I wuj Ezechjel da ci na wyprawę dwudziestu takich samych przeciw anglikom.

— Hura! hura! — zawołali boerowie.

Marcjal wybrał pięciu krzepkich chłopców, z których każdy był mocniejszym od tura. Ludzie ci, po dokonaniu wyboru, nie opuszczali go już ani na chwilę, jak dzieci, którym obiecano wycieczkę i które lękając się, by nie zapomniano ich w ostatniej chwili.

— A teraz, skoro już załatwiono wszystko — rzekł Abraham — chodźmy zobaczyć *wuja Pawła* *) i posiedzenie rady ludowej.

Udali się do obszernego pałacu rządowego, którego budowa kosztowała trzy miliony franków. Mieszczą się w nim wszystkie instytucje rządowe, sejm, ministerja, sekretarjat, zarząd kopalni i inne.

Abraham i jego synowie zdala wskazali go europejczykom. Pałac posiada formę sześcianu z kopułą na wierzchu i z posągiem Wolności na fasadzie.

— Oto chorągiew — rzekł Abraham, uroczyście zdejmując kapelusz z głowy.

— Jestto chorągiew holenderska — odrzekł Van Reuth — przecięta belką zieloną.

— I jest zarazem francuską — dodał Marcjal — barwa błękitna, biała i pąsowa.

Po wejściu do sali rady spostrzegli portret prezydenta Krügera przybranego w uniform, z piersią

*) Oom Paul — poufała nazwa prezydenta Krügera.

pokrytą orderami zagranicznemi i z zieloną wstęgą, stanowiącą symbol godności prezydenta.

— Oto prezydent — rzekł jeden z zuchów wybranych przez Marcjala.

Wszyscy poznali odrazu tę postać olbrzymią o niesłychanej sile fizycznej. Opowiadają o nim, że zjada pięć funtów mięsa na dzień, lecz pije tylko wodę lub kawę. Jako syn fermera z Kaplandu, w wieku młodym przybył 1839 roku do Transwalu i brał udział w strasznej wojnie z Matabelami, ówczesnymi posiadaczami tego kraju. Stał się bohaterem swego ludu, zawsze nienawidził anglików i walczył za niepodległość nowej ojczyzny. Teraz siedział na podwyższeniu i pod baldachimem.

— Czy ten, co siedzi przy stole przed trybuną prezydenta, nie jest czasem zwycięzcą z pod Amajuba Hill, generałem Joubertem? — zapytał Van Reuth.

— On — odrzekł Abraham.

W tej chwili generał Joubert powstał. Rycerskie rysy twarzy jego, małe lecz śmiałe oczy i gęsta broda, zdradzały w nim żołnierza dzielnego i wytrwałego. Mówił, lecz z europejczyków naszych jeden tylko Norbert Van Reuth mógł zrozumieć jego mowę w całości, gdyż język Boerów zawiera w sobie wiele archaizmów i barbaryzmów. Z powodu pewnej sprawy spornej, przypominał pretensje anglików do kraju Zulusów, które wywołały wojnę w roku 1873.

— Spotykamy się znowu — mówił — z odwieczną taktyką anglików, polegającą na zaprzeczaniu nam praw do terytorjów zdobytych na Zulusach, ażeby zagarnąć je dla siebie.

Gardłowe okrzyki i stukanie nogami o podłogę były dowodem uznania ze strony zgromadzenia. Generał Joubert mówił dalej:

— Człowiek, o którego chodzi, oom Pieter Van den Auweland, w rzeczywistości znajduje się na terytorjum naszem i nie przypuszczam, ażeby anglicy wypędzili go. Zresztą jest to jeden z najdawniejszych obrońców naszej sprawy. Gdy Zulusowie z namowy i ośmieleni przez anglików zmusili nas do zawarcia haniebnego pokoju, z którego skorzystała Anglia, ażeby nas zagarnąć, oom Pieter zaprotestował przeciw temu. Jest to człowiek starej daty, prawdziwy Boer nie możemy więc opuścić jego sprawy.

— I ja jestem tegoż zdania — rzekł Abraham, zajmując jeden z dwudziestu czterech foteli, ustawionych w około trybuny prezydenta. — Oom Pieter jest moim krewnym. Uczestniczył jak i my w 1856 roku w wojnie z Zulusami, następnie w 1873 i nakoniec był w bitwie pod Amajuba.

— To prawda! — wołali inni posłowie.

Wtedy przewodniczący, którego trybuna stała obok trybuny Krügera, powstał i poddał pod głosowanie wniosek, domagający się poparcia wuja Piotra w jego sporze z Zulusami. Wniosek został przyjęty.

Wkrótce posłowie rozeszli się i oom Abraham podszedł z Marcjalem do pułkownika Davincourta i generała Jouberta. Davincourt z dumą wspomniał o swem pochodzeniu francuskiem i z pewnego rodzaju chlubą przedstawił swym kolegom kuzyna europejczyka. Wszelako nie mówił już po francusku i z twarzy niczem nie różnił się od innych Boerów. Z tradycji znał historję wychodźtwa protestantów francuskich, oraz osiedlania się w Przylądku w Stellenbosch i Frasche Hoek. Przypomniał, że południowa Afryka im zawdzięcza hodowlę winorośli i jedwabników. Pułkownik i generał Joubert zapewnili o swej sympatji dla Francji. Wszakże, w walce swej z Anglją liczyli wiele na Niemcy i naiwnie wyrazili pragnienie pokoju pomiędzy Galją a Germanją.

Tegoż dnia odbył się u wuja Abrahama wielki obiad, na którym ilość pochłoniętego mięsa w zdumienie wprawiła europejczyków. Wszelako wynieśli wrażenie, że patrzą na rasę potężną, odrodzoną, odświeżoną życiem na czystem powietrzu, na rasę, która zdołała odnowić organizm ludzki, tę konieczną podstawę wielkości duszy, podstawę zaniedbaną w Europie do tego stopnia, że przewaga mózgu stała się powodem naszego chylenia się ku upadkowi.

Marcjal i jego towarzysze przepędzili noc pod gościnnym dachem Abrahama Verhoorda i następnego dnia, zabrawszy swe bagaże, puścili się w podróż do stolicy wolnego państwa Oranji.

IV.

W przeciągu siedmiu godzin, pociąg kolejowy przebył trzysta pięćdziesiąt kilometrów, dzielących Pretorję od Bloemfontein.

Gdy Marcjal, Norbert, Jan, Teresa i ich towarzysze Boerowie wyszli z wagonu, radośnie i poufale powitani zostali przez mężczyznę i kobietę w wieku starszym, którzy natychmiast poczęli ściskać ich ręce i klepać po ramieniu, nazywając kuzynami, siostrzeńcami, synami, która to grzeczność wymaga wywzajemnienia się przez mianowanie wujem i ciotką, ściskanie rąk i takież same klepanie po ramionach.

— Wuj Ezechjel i ciotka Noemi — rzekł stary Boer, przedstawiając się sam. — Wasi kuzynowie i kuzynki czekają na was za stacją na wozach, które zabiorą was i bagaże wasze. Choć fermy nasze sąsiadują z sobą, wasza jednak odległa jest od naszej

o mil ośm. Zresztą i my mieszkamy o pięćdziesiąt mil ztąd. Skorzystaliśmy z waszego przybycia, ażeby urządzić sobie wycieczkę dwudniową.

Podczas tej przemowy na stację weszło ze dwudziestu ludzi, na dany znak Ezechjela zabrali rzeczy Van Reutha, oraz Marcjala i po za wagonami przenieśli je na swych szerokich ramionach na drugą stronę drogi.

Europejczycy udali się za nimi i po przebyciu około trzystu metrów spostrzegli ciekawy widok karawany boerskiej.

Pięć wielkich wozów, z których każdy zaprzężony był w cztery pary wołów, stało gotowych do drogi, kilkunastu jeźdźców uzbrojonych w piki uwijało się około taboru i kilku Hotentotów mających prowadzić karawanę z biczami dwumetrowej długości. wyczekiwało przy pierwszych parach wołów.

Zewsząd, z poza zasłon płóciennych, wyglądały zaciekawione twarze kobiet i dzieci. Słońce jasnym blaskiem oświetlało woły i ich zgięte w półksiężyc potężne rogi. Ten obraz zwyczajów patrjarchalnych przypominał biblijne opisy życia pierwotnego i wielkiej solidarności.

Na wschód, po za koleją żelazną, stolica Oranji, Bloemfontein, rozłożyła się na lekkiej pochyłości pagórka.

I tutaj, jak w Ameryce północnej i prawie we wszystkich miastach, zbudowanych przez praktyczny zmysł wieku naszego, panowała symetrja i regularność. Ulice przecinają się pod kątem prostym, domy stoją rzędami, jak żołnierze na mustrze. Domy te, częścią białe, częścią czarne, oblane światłem słonecznem w czystej atmosferze płaskowzgórza, wzniesionego na 1370 metrów nad poziom morza, świecą pstrokacizną jak skóra lamparta. Obok części miasta, zamieszkałej przez zdobywców, położona jest dzielnica zwyciężonych, chaty ludności czarnej, Hotentotów, Basutów, Kafrów, Gryków itd. czyli Wray Hoek, zaułek, do którego, według prawa i zwyczajów powinni udawać się za nadejściem nocy.

— Przyglądasz się miastu, siostrzeńcze — odezwał się oom Ezechjel do Marcjala, któremu okazywał życzliwość szczególną — miasto ładne, przyznaję, ale gdy zobaczysz nasze wsie, to wyda ci się ono marnem. Prawdziwy Boer potrzebuje przestrzeni. Dawniej posiadłości nasze ciągnęły się dalej niż oko mogło sięgnąć, lecz byliśmy zmuszeni ograniczyć się... Ale jeżeli pragniesz zobaczyć miasto, to pokażę ci je. Jest tam ładna szkoła, a handlowe obroty sięgają miljonów liwrów. Suchotnicy przyjeżdżają tam na kurację. Nawet kilkunastu anglików i angielek z Londynu, osiadło na tamtem wzgórzu, które dawniej było ufortyfikowanem. Ja nie lubię tego. Europejczycy mogliby u siebie trzymać swe choroby. Nikt nie zaprzeczy mnie, że epidemię na skusie zawlekli Anglicy. Gdyby temu byli słuchali, to należało pozabijać sztuki chore i spalić je. Ale te stare środki nie podobają się dzisiaj. Anglicy chcą leczyć! Kto wie, czy i my nie zarazimy się kiedyś od nich suchotami. Chcesz wstąpić do miasta?

Marcjal wzrokiem poradził się swych towarzyszów, poczem odrzekł:

— Nie, będziemy jeszcze mieli sposobność zwiedzenia go, na teraz wolimy pola.

— W takim razie, w drogę — wesoło zawołał oom Ezechjel, zadowolony z odkrycia usposobień wieśniaczych w tych delikatnych europejczykach.

Złożono bagaże na jednym z wozów i wkrótce karawana była gotową do drogi; lecz należało pierwej przywitać się z siedzącemi na wozach osobami, uścisnąć rękę każdej, mężczyzn, kobiet, dzieci, a chociaż Marcjal i Jan mniej oswojeni byli z tymi zwyczajami niż Van Reuthowie, z zadowoleniem jednak podzielali tę poufałość, i serdeczność konieczną wśród ludzi, jednej rasy, rozrzuconych na wielkiej przestrzeni.

Jan, Marcjal i Van Reuthowie zajęli miejsca na wozie pierwszym, obok wuja Ezechjela i ciotki Noemi, poczem karawana, zaintonowawszy hymn, spiewany zwykle przez ten lud religijny, zarówno w chwilach radości jak i smutku, ruszyła w drogę.

— W ten sposób podróżujemy zawsze — rzekł rozpromieniony oom Ezechjel. — Ileż razy w młodości mojej wyruszałem z ojcem i braćmi, gdy uciekając przed tymi przeklętymi anglikami, których oby Bóg upokorzył, zmuszeni byliśmy opuścić Natal i gdzieindziej szukać ziemi wolnej... Zwłaszcza w roku 1846... Najdzielniejsi koloniści natalscy, z moim ojcem na czele, udali się w wąwozy Drakensbergu i osiedli w wolnem państwie Oranji. Pretorjus ze swymi przyjaciółmi przebył rzekę Vaal i założył rzeczpospolitą, której prezydentem jest stary oom Paul, ten sam, co takie klęski zadał Anglikom... Piękne to były czasy! Wozy nasze tworzyły łańcuch bez końca. Strzelby w rękach naszej młodzieży wypalały same. Kafrowie strzegli stóp Drakensbergu, a byli to dzielni ludzie, następnie przybyli im na pomoc Basutowie, nie licząc Buszmanów, ukrytych w lasach na wzgórzach. Należało odrzucić i wyrugować te ludy wrogie. Anglicy rozpuścili pogłoskę, że my zabijamy krajowców; lecz my, chociaż rugowaliśmy ich, jednak dozwalaliśmy im żyć w granicach dla nich dostatecznych, gdy tymczasem anglicy mordowali ich bez litości. Udawali, że opie-

kują się Basutami, Hotentotami i Buszmanami, a to dlatego, by zabrać ich ziemie i nie dozwolić nam osiedlić się na nich. To ich polityka zwykła. Tak jest, wolimy sąsiedztwo Basutów, Kafrów i Hotentotów niż anglików. Niechaj pozostawią afrykanderów*) w spokoju. My obejdziemy się bez nich. Wszystkie nieszczęścia wypływają z ich rządów. Opuściliśmy Przylądek, ażeby żyć na wolności, do której przywykliśmy. Byliśmy zmuszeni stać się zdobywcami, bo inaczej, wymarlibyśmy z głodu.

Chociaż djalekt Boerów różnił się wielce od wytwornej mowy Van Reuthów, Marcjal jednak rozumiał wszystko.

Oom Ezechjel umilkł, zamyślił się, zapalił fajkę i mówił dalej:

— Opowiadano mi, że anglicy posiadali całą Amerykę północną... Jakim sposobem zagarnęli ją? Wytępili krajowców. A my czy tak postąpiliśmy? Czyż pozbawiliśmy życia Kafrów, Hotentotów, Basutów? Z czasem i z pomocą Boga wszystkie południowo-afrykańskie rasy zlałyby się w jedną. Dowodem Grykowie, zrodzeni z luźnych związków Holendrów z Hotentotkami i kobietami innych plemion miejscowych.

— Ezechjelu, nie mów o tem — jęknęła ciotka Noemi — opowiadasz rzeczy wstrętne.

— Masz słuszność, moja stara — łagodnie odrzekł Ezechjel — były to rzeczy wstrętne, lecz nikt nie zna celów Opatrzności, a Grykowie są ludźmi bardzo przystojnymi.

— Wstyd — zawołała ciotka Noemi — mówić o takich rzeczach w obecności młodzieży. Nie będzie wiedziała jak kogo uszanować. Ktoby się zgodził wychowywać swe dzieci w szkole razem z dziećmi o jakich mówisz? I ty sam nie pozwoliłbyś na to. Nawet anglicy uznali konieczność budowania innych szkół i kościołów dla białych a innych dla bastardów i krajowców.

Zaczerwieniona z oburzenia i podrażniona ciotka krzyczała i gestykulowała. Oom Ezechjel pokornie pochylił głowę, nie mając odwagi przeczyć swej wiernej Noemi, przestrzegającej tradycji i dumnej ze swego pochodzenia.

Podczas tej rozmowy, wozy posuwały się wolno lecz regularnie. Słońce chyliło się ku zachodowi, czerwonym blaskiem oświetlając rozległą równinę.

— Jedziemy dobrze i przed nocą staniemy na połowie drogi.

— Jeżeli się nie mylę — rzekł Marcjal — to jedziemy w kierunku Jacobsdalu i Kimberleyu.

*) Boerowie urodzeni w Afryce.

— Oby Bóg zburzył te jaskinie djamentowe — zawołał oom Ezechjel. — Anglicy zagrabili je nam... Ale zapewne jesteście głodni. Powietrze na tych wysokich płaskowzgórzach pomaga do trawienia. Posilmy się.

Na rozkaz wuja Ezechjela zatrzymano wozy i cała karawana zabrała się do jedzenia, z tym samym apetytem, jaki w Marcjalu i jego towarzyszach wywołał podziw w Transwalu. Poczem oom Ezechjel zaproponował swym gościom część drogi odbyć wierzchem, pozostawiwszy Teresę z ciotką Noemi. Propozycja została przyjęła z zapałem, Marcjal, Van Reuth i Jan siedli na konie i wraz z gościnnym swym gospodarzem, ruszyli naprzód przed wozami.

Podróżni oddawna już stracili z oczu Bloemfontein i dążyli ciągle ku zachodowi. Równiny ciągnęły się za równinami, urozmaicone niekiedy małemi pagórkami, oznaczającemi brzegi wyschniętych strumieni.

— Ta susza, to plaga Oranji — rzekł oom Ezechjel — choć w części znaleźliśmy na nią sposób. Wszelako nie spodziewajcie się zobaczyć tutaj rozległych pól uprawnych, spotkacie tylko pastwiska.

Rzeczywiście, na całej przestrzeni, jak okiem można było sięgnąć, pasły się ogromne stada owiec.

— Według zdania Buszmanów, mówił Ezechiel, Afryka będzie utraconą z powodu suszy. Uważają to za karę Boską. Utrzymują oni, że dawniej wody było więcej. Co pan o tem myśli?

— Myślę — odrzekł Marcjal — że Buszmanie zajmowali dawniej ziemie wasze, obfitujące w większą ilość wody. Wy sami mogliście przyczynić się do wyschnięcia wielu strumieni przez wypalenie wielkich przestrzeni leśnych.

Tymczasem słońce ukryło się za horyzont, cisza zaległa niezmierzoną przestrzeń, ostatnie stada ptactwa ze świstem odlatały w dal.

— Oto już nadchodzi noc. Należy urządzić obóz. Dalej, chłopcy, do roboty.

Ustawiono wozy w koło i wyprzężono je, następnie rozpalono kilkanaście ognisk. Woły oddaliły się w miejsce nieco niższe, gdzie prawdopodobnie z powodu wody podskórnej trawa posiadała więcej soków. Ale po upływie kilku minut spostrzeżono je pędzące z powrotem do obozu. Młodzi Boerowie wraz z Marcjalem i Janem pobiegli ku owej nizince, zkąd w odległości paruset kroków zobaczyli pięknego lwa, wstrząsającego swą grzywą. Dwa strzały skłoniły go do ucieczki.

— Pospieszyliście się zanadto — rzekł jeden ze starszych Boerów, do dwóch młodszych, których strzelby dymiły.

— Nie ryczał — zauważył Van Reuth.

— Lwy w Oranii nie ryczą już — odrzekł Boer starszy — od czasu, jak zostały zwyciężone przez ludzi.

Scena ta wzruszyła Marcjala. W wyobraźni utkwiła mu postać króla zwierząt z rozrzuconą grzywą i w sercu jego wywołała litość. Wrócił do obozu smutny, pod wrażeniem wiecznej rzezi, z konieczności idącej w ślad za każdym tryumfem ludzkości.

— Chodźcie! — zawołał oom Ezechjel — siostrzenica z Europy robi nam omlet na sposób holenderski.

Ogromne płaty mięsa piekły się nad ogniskami na brzegach obozu, w punktach zabezpieczających podróżników od dymu; w kotłach gotowały się kartofle i fasola: grupa kobiet smażyła na ogromnych patelniach naleśniki na maśle. Teresa ku wielkiemu zachwytowi wszystkich przygotowywała olbrzymi omlet z konfiturami, zaś ciotka Noemi krajała chleb.

Obiad odbył się wesoło. Nasi europejczycy podnieceni orzeźwiającem powietrzem stepowem, wywoływali w słuchaczach zachwyt opowiadaniem i humorem. Marcjal zwłaszcza zjednał sobie sympatję powszechną. Nawet niedokładna znajomość języka miejscowego nie zrażała ku niemu Boerów. Wykwintna mowa Norberta Van Reutha wydawała się tym wieśniakom przesadną. Przytem, wesołe usposobienie Marcjala, łatwość stosowania się do pojęć prostaczków, obrazowe opowiadanie i logiczne wywody zdobyły mu serca wszystkich mężczyzn i kobiet.

Niemniej życzliwości okazywano i Teresie. Młodzież zachwycała się jej pięknością. Wiedziano, że wraz z bratem odziedziczyła znaczny majątek i ma zamiar osiąść w tym kraju.

Marcjal nie tracił jej z oczu. Wśród tego nowego dla siebie życia i w otoczeniu ludzi wieków pierwotnych, czuł w sercu swem miłość bohatera z epoki homerowskiej, stokroć potężniejszą od miłości europejskiej. Wszelako, widząc, że młoda cudzoziemka stała się celem zabiegów młodzieży, odczuł w duszy zazdrość i potrzebę uzyskania od niej wyznania i obietnicy, któraby związała ich losy na zawsze.

V.

Karawana zabierała się do spoczynku, gdy nowy wypadek ściągnął wszystkich do ogniska. Jeden ze stojących na straży Boerów, usłyszawszy zbliżający się ku obozowi tentent kopyt końskich, zawołał:

— Kto tam?

— Czy jest pomiędzy wami oom Ezechjel? — zapytał jakiś głos z odległości stu metrów.

— Jest — odrzekł stojący na straży.

— Chciałbym pomówić z nim.

— Odejdź i czekaj do jutra. Ilu was jest?

— Dwie osoby.

— Mężczyźni?

— Mężczyzna i kobieta.

— Podejdźcie do ogniska.

Wszyscy byli ciekawi zobaczyć przybyłych. Kobiety zgrupowały się za wozem, mężczyzni podeszli do ognia. W tej części Oranii panował wówczas spokój, mimo to kilka band awanturników z plemienia Gryków włóczyło się po kraju, kradnąc bydło.

Wreszcie dwa łby końskie pokazały się w czerwonem świetle ogniska, jeździec i amazonka zeszli z siodeł, ujęli konie za uzdy i podeszli do światła. Okrzyk oburzenia i gniewu rozległ się wśród Boerów:

— Bastardy! bastardy!

Marcjal, Norbert, Jan i Teresa przyglądali się im i nie mogli znaleźć różnicy pomiędzy dwojgiem tych ludzi a najpiękniejszymi typami rasy kaukazkiej. Sądząc z ich słusznego wzrostu, pięknej i krzepkiej budowy ciała, delikatnych rysów i ruchów dystyngowanych można było przypuszczać, że należą oni do wyższej rasy ludzkiej. Oblicza mieli ogorzałe, prawie czerwone i ubrani byli po europejsku. Lecz Boerowie zapewne znali ich. Wśród kobiet dały się słyszeć głosy nienawiści.

— Może jeszcze na naszych wozach przygotować miejsca dla tych psów bastardów? — wołały niektóre, gdy tymczasem inne mówiły:

— Idźcie szukać schronienia u Hotentotów!

— Poszlibyśmy z pewnością, gdyby znajdowali się w okolicy — z pogardą odrzekł mężczyzna — gdyż są lepszymi od was chrześcianami i nie zapomnieli słów Chrystusa, że wszyscy ludzie powinni być dla siebie braćmi.

Boerowie odpowiedzieli im szyderstwami, żartami i zniewagami. Mężczyzna jednak dumnie i pogardliwie postąpił parę kroków naprzód.

— Stój, bo zabiję cię jak lamparta — zawołał szyldwach.

— Głupi jesteś — odrzekł bastard — nie do ciebie mam interes. Jeżeli jest oom Ezechjel, niech przyjdzie tu; on wie, że jego usłucham.

— Ezechjelu — wołała ciotka Noemi — nie pokazuj się temu Kafrowi przeklętemu, nie wyrządzaj twej żonie zniewagi i nie każ jej przepędzić nocy

w tym samym obozie, co ten nieprawy i zbrodniczy płód człowieka białego i Afrykanki *).

Od początku tej sceny oom Ezechjel stał nieruchomy i zamyślony. Znał panujący w całej Afryce południowej wstręt do związków z kobietami krajowemi; ale jego patrjalchalne serce było czułe na ich niedolę. Wiedział, że Buszmanowie, Hotentoci, Basuci, Kafrowie, byli niegdyś sługami wiernemi, pamiętał, że zabrano im ich ziemię i w długich walkach nauczył się szanować ich męstwo. Wszelako powody te nie były dostateczne, ażeby postąpić wbrew woli wszystkich i oom Ezechjel narażając się na niechęć ogólną odważał się na to zapewne z pobudek innych.

— Należy przynajmniej ich wysłuchać, jest to obowiązek każdego człowieka, a ze wzlgędu na Haaga i jego siostrę, mój przedewszystkiem.

— Nie ma obowiązków względem zbrodniczego płodu Chanaańczyków! — zawołała ciotka Noemi, ku ogólnemu zadowoleniu całej rodziny.

— Ojcze — zawołało dziesięciu synów Ezechjela — usuń ich z pod twego serca i z przed oczu.

— Odpraw ich, zawołali chórem wnukowie, siostrzeńcy i żony, które przez małżeństwo weszły do rodziny Ezechjela i Noemi.

— Cicho! — donośnym głosem zawołał starzec — kto tu jest panem!

Dumnie postąpił kilka kroków przed siebie i surowym wzrokiem powiódł po zebranych.

— Nie będę decydował sam — rzekł smutnie — choć wszyscy znacie moje uczucia pod tym względem, a Haag i jego siostra lepiej od innych; lecz należy poddać się prawu ogólnemu. Wszelako mamy wśród nas gości szanownych. Niech oni zdecydują. Mów siostrzeńcze Van Reuth, i ty, siostrzeńcze z Francji, wypowiedzcie szczerze swe przekonanie.

Stojący z drugiej strony ogniska Haag i jego siostra oczekiwali rezultatu tego układu. Teraz można było lepiej przyjrzeć się młodej dziewczynie, która podeszła do brata. Była cudownie piękną, kostjum europejski stokroć więcej dodawał jej uroku, niż młodym boerkom. Van Reuth postąpił naprzód i rzekł:

— Wszyscy ludzie są braćmi; przybliż się Haag i uściśnij moją dłoń.

Słowa te tak dalece były w niezgodzie ze zwyczajami miejscowemi, że sam Haag z początku ich nie zrozumiał. Stał nieruchomy, gdy tymczasem tłum Boerów szmerem wyrażał swe niezadowolenie.

— Nasz holender źle zaczyna — mówiono.

Lecz kilka osób przyglądało się tej scenie w milczeniu przejęci zapewne szacunkiem dla uczuć szlachetniejszych.

— Przybliż się — dodali Marcjal i Jan, wyciągając dłonie.

Haag podszedł trzymając za uzdę konia.

— Dziękuję — rzekł, ściskając rękę Holendra — wiedziałem już z książek europejskich, że zdarzają się ludzie tacy jak ty, lecz nie widziałem ich jeszcze.

Wtedy Teresa podbiegła do młodej dziewczyny i wzruszona widokiem takiej piękności i takiego poniżenia, z płaczem objęła szyję Afrykanki.

Te łzy zmniejszyły nieprzyjazne uczucia Boerów. Nie objawili wprawdzie przybyszom swej sympatji, lecz przynajmniej wpuścili ich do środka obozu.

Van Reuthowie zaprowadzili ich do wozu wuja Ezechjela, gdzie podano im posiłek. Zasiedli i spożywali go z apetytem, a tymczasem europejczycy przyglądali się im ciekawie. Haag. pod względem rozmiarów zbudowany na model Boerów, wyróżniał się od nich większą harmonją kształtów i dystyngowanemi ruchami Kafrów. Oczy miał błękitne, europejskie, nos prosty, włosy obfite i czarne, czoło wysokie i inteligentne, usta delikatne. Nic w nim nie zdradzało pochodzenia afrykańskiego, z wyjątkiem chyba pięknych kształtów ciała.

Siostra jego, Estera Haag, podobną była do brata z rysów ogólnych, lecz miała włosy koloru blond z odcieniem popielatem i oczy szaro-błękitne. Jej twarz piękna, mała noga i ręka, wysmukła postać, świeża cera, prześliczny kształt czoła, nadzwyczaj miły uśmiech, tworzyły z niej nietylko skończoną piękność fizyczną, lecz nasuwały przypuszczenie, że i pod względem moralnym jest to istota wyborowa. Z kilku wyrzeczonych słów można było domyśleć się i wykształcenia większego niż wśród Boerów w rodzinie Ezechjela, z którego stary patrjarcha był dumnym.

Te dwie wyjątkowe i pogardzane istoty, widoczna dla nich życzliwość Ezechjela, zamożność ich, wszystko to wywoływało łatwą do zrozumienia ciekawość europejczyków, zwłaszcza Norberta Van Reutha, nie mogącego oderwać oczu od pięknej twarzy Estery, która spostrzegłszy sprawione na Holendrze wrażenie, zarumieniła się, następnie uśmiechnąwszy się boleśnie, jak gdyby pod wpływem jakiegoś smutnego wspomnienia, pochyliła głowę i posmutniała.

Gdy Paweł i Estera Haag zaspokoili głód, oom Ezechjel zapytał, co ich zmusiło do szukania schronienia w jego obozie.

*) Religijne prawo Boerów, ustanowione na początku wieku bieżącego, zabrania związków z rasami afrykańskiemi.

— Jechaliśmy do Bloemfontein, ażeby porozumieć się co do przyszłej sprzedaży strusiów. Pragnęliśmy powrócić tego samego dnia, gdyż w stolicy wielu przebywa naszych nieprzyjaciół, a nie lubimy nocować we Wray-Hock*) nie z powodu obecności Hotentotów i Kafrów, lecz dlatego, że nie możemy znosić wyrządzanego nam upokorzenia. Jechaliśmy więc końmi rozstawnemi. Dwaj Buszmani i dwaj Basutowie, wierni, jak zwykle każdemu, kto umie ich do siebie przywiązać, mieli oczekiwać nas z końmi świeżemi. W takich warunkach nie trudno przebyć czterdzieści mil, dzielących naszą fermę od miasta. Na nieszczęście, zmuszeni byliśmy wyjechać z Bloemfontein nieco później.

— I zaskoczyła was noc, nim zdołaliście połączyć się z Buszmanami i Basutami?

— Zaskoczyła nas noc, lecz co do połączenia się z naszymi Buszmanami i Basutami, to inna sprawa.

— Cóż takiego? — zapytał Ezechjel.

— Znacie, wuju Ezechjelu, cudowny instynkt Buszmanów. Otóż nie zastaliśmy ich na miejscu umówionem, przez które przejeżdżaliśmy rano.

— Dziwna rzecz — zawołał Ezechjel — Buszman potrafi biedz za śladem strusia.

— I ja tak samo mówiłem sobie. Dlatego też zaniepokoiłem się mocno. Myślałem, że byli napadnięci i zabici przez jaką bandę Gryków, która wkrótce po waszym wyjeździe wyruszyła z Bloemfontein.

— W jakim celu taka zbrodnia?

— Zapewne dla rabunku. Tak przynajmniej zdawało mi się.

— Ach! więc był i inny powód?

— Naturalnie. Przyznaję, że już w Bloemfontein zaniepokoili mnie oni nieco. Naprzód nie są oni tutejsi i przybyli z Johannesburga. Wiem to od mego hodowcy strusiów, do którego jeden z nich zgłaszał się z prośbą o objaśnienia. Są oni w służbie jakiegoś anglika, bardzo podejrzanego z twarzy, który oświadczył, że udaje się do Kimberley i chce podróż odbyć w wozie, na sposób dawny. Przypuszczam, że chciał on wyjechać z wami, tak przynajmniej mowił ów Gryka. Ale gdy mu się to nie udało, nabył wóz, woły, zaopatrzył się w żywność i puścił się w drogę.

— Czemże będzie się kierował? Busolą?

— Nie zdaje mi się. Przypuszczam raczej, że dotychczas jechał za waszym śladem, co nie jest rzeczą trudną. W każdym razie, znalazłszy się podczas nocy sam z moją siostrą, bez służby i mając konie zmęczone, chciałem cofnąć się do Bloemfontein, w nadziei wzięcia koni ze stada, które niedawno spotkałem w drodze. Jechaliśmy już z kwadrans, gdy w tem rozległy się dwa wystrzały. Jednocześnie koń mojej siostry potknął się o jakąś przeszkodę niewidzialną i padł; zatrzymałem mojego i zacząłem rozglądać się. W tem trzech czy czterech ludzi rzuciło się ku mojej siostrze i ku mnie. Nachyliłem się i nie mając na razie innej broni, mocnem uderzeniem pięści, powaliłem najbliższego, co spostrzegłszy inni, rozproszyli się w cieniach nocy. Gdy siostra siadła znowu na konia, zapaliłem latarkę i przyjrzałem się leżącemu człowiekowi. Był to Gryka.

— „Nie bawmy tu dłużej — rzekła do mnie Estera — nasi nieprzyjaciele widocznie nie mają koni, gdyż napadli na nas pieszo. Łatwo ich wyprzedzimy".

— Przy świetle latarni spojrzałem na busolę, poczem puściliśmy się w kierunku północno-zachodnim, w nadziei znalezienia koni świeżych, gdyż nasze nie chciały już iść dalej. Po kilku minutach spostrzegliśmy ogniska.

— Nasze?

— Nie — odrzekł Haag — historja moja nie prędko jeszcze się skończy.

— Tak! więc będzie jeszcze co nowego?

— Mogłeś się tego domyśleć, wuju Ezechjelu — smutnie odrzekł Haag — czyż w razie przeciwnym narażałbym się na obelgi twej rodziny?

— Niestety — odrzekł oom Ezechjel — pozostają oni pod wpływem tradycji okrutnej, mają za sobą prawo religijne.

— Nie będę się z tobą spierał, wuju, gdyż od śmierci naszego ojca, jesteś naszym dobroczyńcą.

— Nie mówmy o tem — żywo odrzekł oom Ezechjel — kocham cię i twoją siostrę; nie ukrywam tego przed tobą i dopóki smierć nie zabierze mnie z tej ziemi, zawsze będę was bronił; ale są rzeczy, o których nie powinniśmy z sobą mówić; wiesz o tem dobrze...

— Wiem — z goryczą odrzekł Haak — że moja siostra i ja nie mamy ani przyjaciół, ani krewnych wśród białych.

— Uspokój się, Pawle — odezwała się Estera — i Basutowie i Grykowie i Buszmanie są istotami godnemi szacunku.

Nastało kilka chwil milczenia. Oom Ezechjel pogrążył się w smutnej zadumie, Jan, Marcjal, Norbert i Teresa byli zbyt oburzeni, by mogli wyrazić swe uczucia słowami.

Wysokie, niebieskawe płomienie ognisk oświetlały tę scenę z innego wieku. Mężczyźni, kobiety i dzieci, okutani w skóry owcze, spali już oddawna.

---

*) Wray-Hock, dzielnica w Bloemfontein, przeznaczona metysom na noclegi.

Tylko będący na straży Boer wolnym krokiem przechadzał się w około wozów.

— Powiedziałeś — rzekł w końcu oom Ezechjel — że to były nie nasze ogniska?

— Nie wasze, gdyż skoro podjechaliśmy do nich, poznaliśmy czuwających przy nich Gryków, a nadto, ku wielkiemu naszemu zdziwieniu dwóch Basutów i dwóch Buszmanów, którzy mieli czekać na nas z końmi świeżemi. Pod względem czujności i słuchu nikt nie wyrówna Buszmanom, Basutom i Grykom. To też spostrzegli nas natychmiast. Grykowie zerwali się i chwycili za broń; Basutowie i Buszmani usiłowali podnieść się, lecz byli przewiązani sznurami.

— Rzeczywiście — zauważył oom Ezechjel — takie rzeczy rzadko zdarzają się w Oranji.

— Postanowiliśmy — mówił Haag — koniecznie uwolnić naszych służących i w tym celu pozostawiwszy nasze biedne konie, podeszliśmy do Gryków.

(C d. n.)

DO NIEBA.

OPOWIADANIE.

W podgórskiej wiosce Jasionce stoi mały, nizki domek, przytulony do modrzewiowej ściany starego kościołka. Drzwi otwarte jakby wewnątrz żywej nie było duszy. Dzień majowy na schyłku. W domku i w pobliżu taka cisza, że nawet kos w klatce u okna nie śmie się odezwać.

Antoś, mały pastuszek, wie dobrze, co ten spokój znaczy. Stary Onufry, kościelny, zawiesza świeże girlandy na ołtarzu Matki Boskiej, a w domku jest tylko jego wnuczka, Justysia, którą już oddawna męczy febra, tak że od kilku dni nie wstaje z łóżka.

Gdy wszedł Antoś, chora podniosła się na łóżku i popatrzyła na niego smutnie. Wiedziała, że przyszedł ją pożegnać, rzekła więc cicho:

— To już jutro odchodzisz?

Biedny Antoś jest tak wzruszony, że słowa przemówić nie może. Kiwnął tylko głową, że tak. Siadł na nizkim stołeczku przy łóżku Justysi, gładzi jej chudą rączkę i patrzy na nią przez łzy. Wstrzymuje się całą siłą od płaczu, nie chcąc jej zasmucić. Jak ona się zmieniła! Czyż to ta sama mała Justysia, hoża jak sarenka, z buzią jak róża, z oczkami jak szarotki? Pewnie nie pójdzie już z nim nigdy ani do lasu na jagody, ani na procesję w niedzielę.

Rączyny ma zimne, wielkie oczy zmącone, a gdy mówi, to jakby w gardziołku miała strunę pękniętą. Pewnie już jesieni nie doczeka!...

— Już ty mnie, Antosiu, nie zastaniesz po powrocie — mówi do chłopca, który wciąż patrzy na nią, milcząc uporczywie.

— Nie mów tak, Justysiu, odzywa się wreszcie. Nie chciałem ja odchodzić w góry, ale pan kazał iść z owcami na Osielec. Wrócimy dopiero w jesieni, a wtedy ty będziesz zdrowa.

— Nie, Antosiu! Mnie tu już nie będzie, tylko mi przykro, że ciebie więcej nie zobaczę. Gdybym choć wiedziała, gdzie to jest ten Osielec.

— To daleko w górach. Trzeba iść podobno trzy dni; przechodzi się przez Poronin i Spytkowice a potem ciągle w góry. Ścieżki tam są wązkie, jak tasiemki. Z jednej strony przepaść, z drugiej góry i skały jak ściany. Latoś wynajął pan pastwisko w Osielcu, gdzie jeszcze owce nigdy nie były. Wieś jest w dolinie, a pasterze schodzą tam tylko raz na tydzień upiec chleba, ale powiedz mi, Justysiu, cobyś zrobiła, gdybyś wiedziała, gdzie jest ten Osielec?

— Poczekaj — mówiła dziewczyna. — Trzeba iść, powiadasz przez Poronin i Spytkowice To już będę wiedziała... Tak, dobrze... No, pocałuj mię ostatni raz, Antosiu mój. Gdy umrę. polecę w góry i będę przy tobie, zanim pójdę do nieba.

— A jak ja będę o tem wiedział? — zapytał drżącym głosem chłopiec.

— Zawołam na ciebie: Antosiu, Antosiu! Dwa razy raz po raz.

— I znikniesz na zawsze... Ach! — westchnął

chłopiec — gdybyś tak mogła wziąć mnie z sobą...

— Chciałabym, ale popatrz, jak jestem słabiutka. Spróbuję, lecz pewnie nie będę mogła...

* * *

Pasterze z owcami dostali się szczęśliwie na pastwisko. Była to turnia daleko od miejsc zamieszkałych, na wysokości, gdzie nawet drzew już nie było, tylko w około wonna trawa.

Na odłamku skały siedzi Antoś z brodą opartą na ciupadze. Patrzy na białe wirchy Tatr, na niebo, po którem tylko orły szybują, na ciemne chmury w dole. Myśli o Justysi. Nie wie nawet, jak dawno ją żegnał; cieszy się jednak, że pewnie żyje, kiedy do niego nie przyszła. Przymyka oczy i widzi Jasionkę i stary kościołek modrzewiowy i domek Onufrego. Widzi i bladą twarzyczkę i chude rączyny Justysi. Mój Boże! czyż na prawdę nigdy już nie zobaczy jej własnemi oczami, tylko w myśli?

Gdzieś daleko, w dole odezwał się głos dzwonu, zaraz drugi i trzeci i w krótce cały chór cichych dźwięków leciał ku wirchom... Antoś patrzy na starszego juhasa, który żegna się i woła:

— A cóż, ty smyku, nie wiesz, że to jutro święto Wniebowzięcia?

* * *

Wniebowzięcie! Słowo to wstrząsnęło Antosiem do głębi duszy. Całą noc brzmiało mu w uszach. Rano, przy pacierzu, zdawało mu się, że widzi, jak aniołowie niebiescy niosą Najświętszą Panienkę do Syna miłego... Drżącemi wargami szeptał: „Matko Boska! Jeżeli Justysia jeszcze nie umarła, a umrzeć ma, to spraw, niech razem z Tobą pójdzie do nieba, jako jeden z tych białych aniołków, które Cię otaczają, niech razem z Tobą opuści ten padół płaczu!“

Sierpniowe słońce lało potoki ognia, ciemne chmury skłębiły się w dole; dźwięki dzwonów brzmiały teraz głucho, jak z pod ziemi.

— Pod nami pędzi burza — rzekł juhas.

Burza szła. Czarne chmury zaciągnęły doliny. Wirchy tylko sterczały nad ciemnym mrokiem. Nad głowami juhasów świeciło jasne słońce i błękitne niebo, u nóg — czarna noc, Dźwięk dzwonów już nie dochodził w górę. Nagle, zdawało się, że góry walą się z podstaw. Cały kłąb chmur był jakby jedną oponą pełną elektryczności; grom za gromem uderzał w ciemną przestrzeń. Krótko trwała burza. Chmury poszarpane znikały powoli, rozsypywały się na małe obłoczki, najrozmaitszych kształtów, które wiatr południowy spędzał ku wirchom. Jeden z takich obłoczków płynie ku Antosiowi.

— Antosiu, Antosiu! — szepcze słabiutki głosik. Antoś drży całem ciałem. Kto to woła? Rozgląda się wkoło, widzi juhasów, ale to nie był głos żadnego z nich. Owce spokojnie się pasą, psy, poszczekując, obiegają pastwisko.

— Antosiu, Antosiu! odzywa się głos bliżej.

Teraz słyszy dobrze, że głos idzie z dołu. Patrzy tam uporczywie i widzi płynący ku niemu obłoczek. Mały, jasny obłoczek, od góry żółtawy, jakby złoty, dołem biały, jak jedwabna chusta. Obłoczek wciąż płynie w górę do niego, bliżej i bliżej. Teraz już widzi Antoś pod złotą opaską bledziutką twarzyczkę, oczęta, jak szafirki i chude rączki, złożone jak do modlitwy.

— Justysia! — woła radośnie, rzucając się ku widziadłu i machając ciupagą — Justysiu moja!

Starszy juhas spostrzegł także obłoczek. Wiedział, że obłok ten, żółty, jak roztopiona miedź, to reszta pozostałej z burzy elektryczności. Myślał, że Antoś nie widział obłoku, zawołał więc z całej siły:

— Hej, chłopcze! Uważaj na obłok! Uciekaj od niego! Rzuć ciupagę, bo zginiesz!

Lecz Antoś jakby nie słyszał. Bieży ku obłokowi, już jest przy nim, otwiera ramiona, jakby chciał kogoś objąć i uściskać. Wtem z obłoku wyskoczył siny płomyk na lśniącą ciupagę, odezwał się głuchy huk i po chwili, gdzie stał Antoś, tylko kupka popiołu czerniła się na osmalonych kwiatach murawy.

Z obłoku popłynęły dwa białe kłębuszki w przestrzeń ku niebu...

mr.

Redaktor odpowiedzialny Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, A. Milski i Sp.
Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku.